

Z Kantorem po Gnieźnie

JULIUSZ TYSZKA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany, Teatrológ,

Lubię to! 55

A A A



Fot. Dawid Stube

interesujących ról, a jego dwa pierwsze akty to idealne laboratorium aktorskiego realizmu (Stanisławski zapewne nazwałby go złośliwie „codziennolizmem”). Natomiast akt trzeci, w którym występują zmarli, to interesująca i w tamtejszych warunkach wciąż „bardzo eksperymentalna” zachęta do wyzwolenia się z ulubionej przez Amerykanów realistycznej konwencji gry, którą bezwzględnie narzuca tam teatrowi sięgająca lat dwudziestych tradycja, no i przemysł filmowy.

W gnieźnieńskiej inscenizacji *Naszego miasta*, autorstwa Piotra Kruszczyńskiego, na pierwszy plan wysuwa się... po prostu „nasze miasto” tamtejszych wdzów, czyli Gniezno, a Wilderowska wyprawa „poza kanyony czasu”, gdzie „przeszłość, teraźniejszość, przyszłość dzieją się równocześnie, są jednym aktem wieczności”, stanowi dla reżysera idealną okazję, by przywołać rozmaite koleje losu mieszkańców Gniezna, w tym jego własnej rodziny. Tyle że trzeba jeszcze coś zrobić z Wilderowskim miasteczkiem Grover’s Corners w stanie New Hampshire z przełomu XIX i XX wieku – z tą tak typową, że aż niemal mityczną prowincjonalną amerykańską dziurą położoną gdzieś „in the middle of nowhere”, z dala od głównych szlaków. Grover’s Corners jest u Wildera miejscem najpierw przeraźliwie banalnym, niedocenianym przez wszystkich, łącznie z jego mieszkańcami – za ich życia. Natomiast gdy dramaturg oddaje im głos jako umarłym, ta straszna dziura okazuje się miejscem wspaniałym, ukochanym, dopieszczonym we wspomnieniach, podobnie jak całe ich zwykłe, przeciętne życie, które wydaje im się teraz cudem i jedną wielką niezwykłą niebanalnością. Gdy się inscenizuje dramat Wildera, to nijak się nie da ominąć Grover’s Corners i trudno jest owo amerykańskie miasteczko tak po prostu „pożenić”, scenicznie „skleić” z jakimkolwiek innym miastem, np. z Gnieznem. I to właśnie okazało się głównym problemem dla Piotra Kruszczyńskiego, a także dla widzów jego spektaklu. Problemem, dodam od razu, brawurowo przezwyciężonym.

Gdy wchodzimy do sali Teatru im. Fredry, widzimy odkrytą przed naszym wzrokiem nagą scenę, która straszy bladoszarymi ścianami i kojarzy się nam z dworcową halą, bo „ozdobiona” jest paroma typowymi dla polskich prowincjonalnych dworców niewygodnymi ławkami. Z głośników dobiegają nas głosy starszych gnieźnianek i gnieźnian monologujących na temat przeszłości swego miasta i zmian, jakie w nim zaszły. Padają nazwy lokalnych atrakcji, miejsc, do których się uczęszczało, głównie w celach towarzyskich czy rozrywkowych – rozściela się oto przed nami bogaty dywan gnieźnieńskiego *imaginarium*, tamtejszej dawnej ikono- i sonosfery, zmitologizowanych mocą wyglądającej wszystko pamięci o tym, co nam zostało z młodych lat. To jest już prawie wizja przeszłego Grover’s Corner rodem z opowieści umarłych z trzeciego aktu sztuki Wildera. Tyle że tam „nasze miasto” jest zmitologizowanym toposem literackim, a Gniezno mamy tutaj, tuż obok nas, za ścianami Teatru im. Fredry. I jest to Gniezno jak najbardziej dzisiejsze, ze wszystkimi swymi zaletami i wadami. Owszem, te dwa światy zostały już do siebie całkiem udatnie zbliżone dzięki nagrany opowieściom-wspomnieniom gnieźnieńskich senierek i seniorów. Ale co dalej robić z tym ciekawym, acz ryzykownym pomysłem „pożenienia” Gniezna z Grover’s Corners? Bo przed oczami mamy nadal tę obskurną poczekalnię, której obraz jakże jest daleki od rzewnych wspomnień o tamtym, dawnym mieście – minionym, upiększonym, rozjaśnionym i „rozsłnionym”. A przed nami dwa pierwsze, realistyczne do bólu akty amerykańskiego dramatu.

Cóż, nieuchronnie nadchodzi pora na wejście Wilderowskiego Reżysera-Demiurga (Szymon Mysłakowski) z prezentacją tytułowego „naszego miasta”, słabo pasującą do jakiegokolwiek opisu Gniezna, no a potem do akcji muszą wkroczyć państwo doktorostwo Gibbs (Iwona Sapa, Maciej Hązła) i państwo redaktorostwo Webb (Agata i Leszek Wojtaszakowie). I choćbyśmy nie wiem jak skracali oraz kondensowali niemrawą, „codziennolistyczną” akcję, wycinali kolejne postacie i kolejne kwestie z dramatu Wildera (a tak uczynił Kruszczyński), to oś dramaturgiczna – relacje dwóch rodzin zwięczone związkiem małżeńskim ich dzieci (Martyna Rozwadowska i Paweł Dobek) – musi zostać nienaruszona. A jej ocalenie obciąża inscenizację Kruszczyńskiego niebagatelnym kosztem odegrania wielu banalnych scen i nudnawych dialogów zanurzonych w życiu amerykańskiej prowincji. I nie można tutaj, wzorem Kantora, zainscenizować „teatru śmierci” (albo „teatru pamięci”), nakazując postaciom bezradne miotanie się po scenie w poszukiwaniu miejsca, gdzie stało krzesło, i łóżka, w którym leżał dziadek – to nie jest autonomiczna kreacja scenicznego Demiurga, tylko po prostu inscenizacja dramatu.

Reżyser znalazł jednak sposób na ożywienie scenicznych wydarzeń obciążonych Wilderowskim багаżem nudy (dodajmy: celowo i precyzyjnie tu rozmieszczonym). Otóż, jak wiadomo z didaskaliów *Naszego miasta* (i o czym już wspomniałem), każda jego inscenizacja ma być, wedle woli autora, pozbawiona scenografii oraz rekwizytów, które powinny być jednak „obecne” na scenie poprzez gestyczne ogrywanie ich przez aktorów (mamy tu ów świetny pretekst do ćwiczeń z „działań fizycznych”). No i Kruszczyński do tych „pustych” gestów aktorskiego zespołu dodał dźwięki, świetnie imitowane przez czworo znamienitych wokalistów z zespołu Spirituals & Gospel Quartet. „Spirituali” wykonali ponadto z właściwą sobie maestrią kilka odpowiednio dobranych pieśni, a ich dźwiękotwórcza obecność wydatnie ożywiła spektakl i pozwoliła widzom przetrwać nawałę scenicznego „codziennolizmu” przez całe pierwsze dwa akty. Obecni a to na balkonie, a to na parterze widowni, a to na scenie, wspaniale wzbogacali sceniczną rzeczywistość przedstawioną, która bez nich popadłaby szybko w monotonną, jednostajną szarość, odpowiadającą kolorowi scenicznych ścian.

W finale drugiego aktu, podczas ślubnej ceremonii łączącej Emilkę i George’a, na scenę wkracza grupa kilkanaściorga starszych osób obojga plci – mieszkank i mieszkańców Gniezna. Trzon tej grupy stanowią słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku. To ich głosy towarzyszyły nam podczas usadawiania się na widowni, to oni reprezentują gnieźnieńskie „dawno, dawno temu”, a zarazem „tu i teraz”.

No a potem nadchodzi ten cudowny trzeci akt, kiedy głos mają umarli, kiedy opowieść o „naszym mieście” zyskuje wymiar eschatologiczny, a „tu i teraz” nagle rozciąga się na cały wszechświat i „po wieczne czasy”. Aktorzy zachowują się tak samo jak przedtem, pozostając nadal w odrapanym wnętrzu dworcowej prowincjonalnej poczekalni, która jednak teraz staje się nagle czytelnym symbolem wielu rozmaitych miejsc przechodnich, granicznych, służących przejściu do innych wymiarów bytu. A przy tym wciąż jest wspaniale, po kantorowsku wymyślonym „miejscem biednym”, najzwyklejszym, banalnym, a pomimo to zdolnym unieść dziesiątki uniwersalnych skojarzeń.

Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość stają się nareszcie pięknym i strasznym „aktem wieczności”, a Gniezno w końcu skleja się w jedno z Grover’s Corners. I wszystko gra.

Ale to jeszcze nie koniec – czeka nas niespodzianka: panie bileterki zachęcają nas do powstania z miejsc i przejścia na scenę. Przeciskamy się wąskimi przejściami, trwa to ładne parę minut i wygodne nie jest. Ale po drugiej stronie kurtyny czeka nas za to piękna nagroda – teatralny strzał w dziesiątkę. Bo gdy w końcu siadamy na twardych dworcowych ławkach albo stajemy za nimi, na oddzielającym nas od widowni ekranie wyświetlona zostaje panorama Gniezna, a gdy ta projekcja się kończy, zza białego ekranu dobiega nas opowieść Reżysera o tym mieście. Szymon Mysłakowski miota się za ekranem jako malejący bądź ogromniejący cień. Nie mówi już tutaj tekstem z dramatu Wildera, jest wcieleniem Piotra Kruszczyńskiego i przekazuje nam jego bardzo osobiste wspomnienia. Bo ta finalna opowieść dotyczy gnieźnieńskiej historii jego rodziny, wpisując się harmonijnie w inicjalny motyw opowieści seniorów.

Na koniec mamy już totalny teatralny odjazd: ekran oddzielający nas od widowni idzie w górę i spoglądamy nagle w oczy zasiadającym tam, na naszych fotelach, aktorkom i aktorom z obsady *Naszego miasta*. Przed kilkunastoma minutami grali na scenie osoby żywe bądź umarłe, a w tej chwili spoglądają na nas z naszych miejsc. Towarzyszą im seniorzy i seniorki. Szare fotele kojarzą się z tej perspektywy z rzędami nagrobków. A my jesteśmy na scenie – jeszcze żywi, ale przecież zjednoczeni z Wilderowskimi postaciami, a także z mieszkańcami Gniezna (oraz każdego innego miasta, wsi, osady i czego tam jeszcze) naszym ludzkim losem, w którym „przeszłość, teraźniejszość, przyszłość dzieją się równocześnie, są jednym aktem wieczności”.

Ale to jeszcze nie koniec – oto gnieźnieńscy seniorzy wyciągają nagle ku nam swoje fotograficzne portrety. Są na nich piękni i młodzi, ale kształt tych zdjęć coś za bardzo przypomina kształt dawnych sarmackich portretów trumiennych ze słynnej wystawy *Vanitas* w poznańskim Muzeum Narodowym. Równie dobrze możemy wyobrazić je sobie jako portrety zmarłych przyklejone na dzisiejszych nagrobkach tysięcznej rzeszy polskich cmentarzy.

Tak oto amerykańskie ćwiczenie z „codziennolizmu” znika bezpowrotnie w ocenie naszej pamięci, „unieśtotniającej” ten aspekt Wilderowskiego dramatu (oraz jego wszelkich możliwych inscenizacji); Gniezno na dobre już łączy się w jedno z Grover’s Corner, a spektakl Kruszczyńskiego osiąga niewyobrażalny, zdawałoby się, nieosiągalny dzisiaj wymiar kantorowskiego „teatru śmierci”.

Pora na oklaski, więc klaszczemy. Aktorkom, aktorom, seniorkom, seniorom, śpiewaczkom, śpiewakom, sobie (siedzimy wciąż w wprost widowni), przeszłości, teraźniejszości, przyszłości...

2-11-2015

Teatr im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie

Thornton Wilder

Nasze miasto

przekład: Jacek Poniedziałek

reżyseria: Piotr Kruszczyński

scenografia: Justyna Kuchta

muzyka: Bartosz Chajdecki

obsada: Iwona Sapa, Michalina Rodak, Agata Wojtaszak, Martyna Rozwadowska, Daniela Zybalańka-Jaskó (gościnnie), Paweł Dobek, Maciej Hązła, Szymon Mysłakowski (gościnnie), Wojciech Siedlecki, Leszek Wojtaszak, Spirituals & Gospel Quartet oraz słuchaczki i słuchacze Gnieźnieńskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, mieszkanki i mieszkańcy Gniezna

premiera: 10.10.2015

TAGI:
 Jacek Poniedziałek,
 Piotr Kruszczyński,
 Bartosz Chajdecki,
 Thornton Wilder,
 Justyna Kuchta,
 Gniezno,
 Teatr im. Aleksandra Fredry,

Udostępnij

Lubię to! 55

SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

siedem minus cztery jako liczbę:



KOMENTARZE (0)

POWIĄZANE TEATRY

Teatr im. Aleksandra Fredry

PRZECZYTAJ TEŻ

Juliusz Tysza
Szaleństwo na zielono

Juliusz Tysza
Wszystko jak należy – realistycznie

Juliusz Tysza
Farsowa wyborność w umiarkowanym tempie

Piotr Dobrowolski
Kto wolałby nie żyć

Piotr Dobrowolski
Tańcz, póki możesz

Juliusz Tysza
Teatr chropawo-koślawy?

BĄDZ NABIEŻĄCO

